

## ***Lady Bird***

### **Reż. Greta Gerwig**

### **USA 2017**

*Lady Bird*, bo był już *Birdman*. Możemy je porównać? Nie wiem. Ale tak, skoro piszę, to zapoznałem się z tym pierwszym. I wiecie, co na ten temat powiem? Miło, naprawdę miło ogląda się dobre filmy. Chociaż w tym konkretnym przypadku raczej „smutno”. A dlaczego?

*Lady Bird* to dla mnie smutny film. Prawdziwie dający do myślenia. Sprawia, że zaczynasz się zastanawiać. A to niedobrze. Znacząco, niedobrze dla naszej strefy komfortu, ponieważ po takich obrazach zdajesz sobie sprawę z wielu rzeczy. Ja zdaję sobie sprawę. Dochodzę do wniosków. Wysznuwam konkluzje. Myślę. Myślę, więc cierpię. *Lady Bird* to film pełen pragnienia (pieniędzy, akceptacji, miłości), pełen niespełnienia. Pełen zdawania sobie spraw. Dobrze zbalansowany pojęciowo i emocjonalnie.

Jest czasem tak, że widać czyjś ból w jego pozornym spokoju, prawda? Ja się z tym zgadzam. Muszę, bo to moje zdanie. Jest tak. Widać to w postaci ojca tytułowej dziewczyny. Ciepły, chcący być zawsze tym miłym, zawsze „tym dobrym”. Zdolny do poświęcenia, byleby tylko uszczęśliwić najbliższych. Tata, któremu jeśli sprawisz przykrość, nie okaże tego po sobie. Uśmiechnie się i w spokoju odejdzie. Opuści temat.

Nawet nie zdasz sobie sprawy, co zrobiłeś. Dopiero którejś nocy mama pozna, że coś z jej mężczyzną jest nie tak. Wtedy on, mając pewność zupełnej prywatności, zwierzy się, jak bardzo go to bolało. On, który wyniszcza siebie, żeby tobie było jak najlepiej. I stara się ze wszystkich sił, i widzi, że to za mało. Że to tobie nie wystarcza. Wtedy dochodzi on do wniosku, że zawiódł. Ale niczego po sobie nie pokazuje. Nie przy wszystkich. Nie w świetle dnia.

Jest czasem tak, że widać czyjąś miłość w jego ciężkiej pracy, poświęceniu, zimnych słowach, braku czułości, przesadnej surowości. Widać to w postaci matki tytułowej dziewczyny. „She is warm, but she is also kind of scary”. Dokładnie. Czepia się, zapracowuje na dwie zmiany, liczy każdy grosz. Dla siebie by przecież tego nie robiła. Powie ci, że cię kocha. Będzie to prawda, ale powie to automatycznie. Nie zastanowi się nad tym. Nie ma czasu. Wiesz, że cię kocha, ale boisz się, że cię nie lubi. To z nią będziesz się kłócić. To ona będzie na ciebie wrzeszczeć. To jej miłości potrzebujesz najbardziej.

Jest czasem tak, że widać czyjeś rozczarowanie z powodu tego, że w życiu przypadło mu to miejsce, ten czas, ta rodzina. Chociaż stara się tego nie okazywać. Czasem on pragnie być jak inni, czasem pragnie więcej niż może dostać, czym rani najbliższych. Ale kocha i docenia to, co ma. Tych, których ma.

Kiedy Larry McPherson (ojciec) skierował twarz w kierunku zachodzącego słońca i delektował się, koł jego promieniami, wiedziałeś, że wtedy przez tę krótką chwilę był szczęśliwy. A co z resztą czasu?

## ***Miłość*** **reż. Michael Haneke** **Austria/Francja/Niemcy (2012)**

Haneke nakłada płaszczyk filozoficznej rozprawy nad miłością oraz śmiercią, a po prawdzie włącza tryb autopilota i tworzy film, który znamy, zanim go jeszcze obejrzymy. Za późno już na *Miłość* w jego filmografii. Poprzedzona *Pianistką*, *Ukryte* i resztą, *Miłość* po zapoznaniu się z jej krótkim opisem, plakatem czy zwiastunem mówi nam „znasz mnie”.

Będę powolna, statyczna, czytana i w pewnym momencie zszokuję — ciągnie dalej *Miłość*. Tyle tylko, że szok jest do przewidzenia, a cała reszta stylu Michaela zdaje się nadwyreżona, zbyt często używana, przez co wypaczona.

Haneke w swoim realizmie nie jest tu autentyczny. Wszystko wbrew pozorom jest zbyt perfekcyjne. Ci ludzie, uzdolnieni i bogaci, obywatele kultury wysokiej, nie mówią brzydkich słów, pewnie i takich nie myślą. Ich kłótnie są spokojne, zmierzwiłone włosy ułożone, a zaniedbane mieszkanie to tak naprawdę teatralna scenografia. Zalane łóżko nie śmierdzi moczem, a ciało w rozkładzie wygląda pięknie.

Mając świadomość, że to fabuła oraz że to fabuła spod Hanekego *Miłość* wręcz drażni, od quasi-dokumentu odróżniając się tylko po to, by iście filmowo zszokować. Tym bardziej mierzi misterne przedstawianie Georgesa jako kochającego, obciążonego ogromnym ciężarem opiekuna, poczynione tylko po to, aby jedną, najmniej udaną z całego

filmu sceną wprowadzić widza w konsternację odnośnie do jego osoby. Cała *Miłość* obliczona jest tylko na ten jeden moment, dla którego reszta jest „przy okazji”, stanowiąc jednocześnie drogę do zszokowania. U podstawy *Miłości* leży skrzętnie ukryte pod płaszczykiem banałów pytanie o zasadność tego jednego uczynku. W dodatku wydaje się ono niezbyt dobrze zadane.

Georges przez większość czasu jest nam widzom umilany, prezentowany tak, byśmy go polubili. Abyśmy docenili jego oddanie, starania, jego miłość. I abyśmy w końcu współczuli jemu właśnie. To samo w sobie złe być oczywiście nie musi, jednak z każdą minutą tego umilania jego żona jest umniejszana i paradoksalnie, będąc w centrum zainteresowania męża, sprowadzana na margines naszej uwagi. Choroba Anny odbiera jej samodzielność, sprawność i godność, Haneke zaś odbiera jej człowieczeństwo, sprowadzając ją jedynie do wyrazu miłości Georges'a.

Odwieczny cel Michaela, krytyka społeczeństwa współczesnego i prowokowanie dyskusji nad tematami często przemilczanymi zdaje się w *Miłości* nieosiągnięty w sposób przez reżysera zamierzony. Rozmowa o eutanazji zostaje tutaj wypaczona przez zabranie prawa głosu Jej i skrywany egoizm Jego. Tym samym dyskusja chcąc oprzeć się na *Miłości* będzie musiała u swoich podstaw przyjąć korygujące ją (*Miłość*) założenia, gdyż w innym wypadku nie będzie to dyskusja o eutanazji, lecz o morderstwie.

## ***The Last Black Man in San Francisco***

**Reż. Joe Talbot**

**USA (2019)**

Obejrzałem film. *The Last Black Man in San Francisco*. I zacząłem myśleć. A raczej to myśli same zaczęły napływać. Skojarzenia, interpretacje. Zacząłem więc czytać, przeszukiwać strony i fora z nadzieją, że ktoś już spisał moje myśli. Jakże się przeląknęłam, gdy nic nie znalazłem. Znaczący, znalazłem, ale to nie było to. To nie były moje interpretacje!

Nagle to poczułem. Chęć uzewnętrznienia myśli. Z początku delikatne, ale znaczące. Ukłucie szpilki. Próbowałem zbywać tego niechcianego gościa. Przecież jestem zajęty. Nie słuchał się. Na domiar złego stawał się coraz bardziej natarczywy. Zadarty paznokieć, którego nie mogłem przestać skubać. Dość! Wziąłem obcinacz... znaczący długopis i zeszyt. Ja, człowiek pochłonięty przez sprawy przyziemne i tak bardzo mało ważne spiszę swoje rozważania! I zaczął się proces pisania. No, znaczący taką miałem złudną nadzieję. Bo okazało się, że w moim przypadku pisanie poprzedza dziwaczna faza rozmyślenia, dywagacji i wewnętrznych monologów nad istotą, formą i znaczeniem tego, co ma pojawić się na tej jakże cennej kartce zeszytu za 2,50 zł. Nie mogę jej przecież zaśmiecić byle czym, pomyślałam.

Zacząłem więc myśleć, znowu. Które elementy moich rozważań są na tyle wartościowe, by się nimi podzielić? I znalazłem. Przecież *The Last Black Man in San Francisco* to film o utraconej miłości do ojczyzny. A żeby

to dostrzec, przyjęć należy następujące założenia. Otóż Jimmie Failsgrany przez samego siebie oraz Montgomery Allen w kreacji Jonathana Majora wspólnie stanowią jedną osobę. Z czego to Jimmie przedstawia personifikację postawy patriotycznej, romantycznego wręcz zafascynowania. Mont zaś to głos rozsądku, świadomość zwracająca uwagę na fakty. Założenie to wydaje się nieco na opak, gdyż to Mont przecież ma duszę artysty i talent pisarski, natomiast Jimmie fach złotej rączki i kombinatorski umysł. Jednak wymieszanie to, na pierwszy rzut oka zakłócenie tej interpretacji stanowi raczej jej potwierdzenie w momencie, gdy przypomnimy sobie, że panowie są przecież jednością.

Natomiast dom, o który tak stara się dbać i walczyć Jimmie, to kraj dla niego ojczysty. Remontuje on go, odmalowuje fasadę i karci właścicieli za brak poszanowania dla nieruchomości. Oni zaś, swoją drogą ludzie biali, zwracają mu uwagę, że przecież to nie jego, a ich własność. Ciekawie można to interpretować w kontekście amerykańskim, zważając dodatkowo na fakt, że Jimmie jest czarnoskóry.

Zatem dba Jimmie o dom, o którym dodatkowo mówi, że jest on dziełem jego przodków. Dbą, kocha i walczy o prawo do niego w sposób legalny i nie. Nikt inny nie ma do niego prawa, tylko ja! Historycznie się mi należy! Jednak zapomina Jimmie, że historia przez niego opowiadana jest kłamstwem. Kłamstwem, które głosił tak zapalczywie, że sam w nie uwierzył. Zatracił się Jimmie w miłości do kraju, do którego rościł sobie bezwzględne prawa. I skręcało go na samą myśl, że kto inny może tam mieszkać, że kto inny może tam żyć. Tylko ja i mi podobni. Reszta won! Aż w końcu przemówił Mont i wygarnął mu w twarz jego zakłamanie *vel* romantyczno-patusiarskie zatracenie. Doszedł do głosu rozsądek i skarcił agresywny patriotyzm, podszyty ksenofobią i zazdrością. Z bólem serca więc rozstali się dwaj przyjaciele. Jimmie odszedł od domu jak najdalej, a sam dom odnowiono jak Jimmie tego nie potrafił.

Nad taką myślą się więc zastanawiałem. Siedziałem w fotelu z długopisem w ręku i zeszytem na udzie i myślałem nad tym, jakże ten film o domu w San Francisco dotknął struny, o której nie wiedziałem, że jest dla mnie tak drażliwa. Ba, nie wiedziałem, że ją mam. Bo oto mi, jawnemu kosmopolicie z przekonania zrobiło się żal kraju, w którym żyję. I przypomniało mi się, jak to często mówiłem, że nie czuję żadnej emocjonalnej więzi z tą ziemią. Jakże beczelnym bym był, gdybym teraz podjął kwestie patriotyczne, gdybym jakoś zareagował na to, co się dzieje. Tak więc zawstydzilem się i nic nie napisałem.

## ***Thelma***

**Reż. Joachim Trier**

**Norwegia, Francja, Dania, Szwecja (2017)**

Nie od razu poznałem, o czym jest ten film. Jednak leżąc już nocą w łóżku i przerabiając w głowie miniony dzień, gdy doszedłem do momentu oglądania *Thelmy* coś kliknęło, zapaliła mi się lampka. Jak zwał, tak zwał. Zrozumiałem, że dotyka on problemu apodyktycznego, zaborczego ojca, męża, syna. No mężczyzny ogółem. Myśl ta poskładała mi porozrzucane przez Triera puzzle i pozwoliła nieco bardziej cieszyć się jego filmem.

Bo czytanie *Thelmy* w kluczu buntu pokolenia młodego wobec staro daje nam poczucie, że film ten nie jest bezsensowną wydmuszką. Więcej. Jak wspomniałem, głównym złym, swoistym Pazuzu jest tutaj ojciec, mąż i syn, trójca w jednej osobie, która opętuje aż trzy pokolenia kobiet. Czytaj, wszystkie kobiety. A ta uwaga daje nam możliwość odebrania *Thelmy* również jako kina feministycznego. Co więcej, film nie zostawia swoich bohaterek w pozycji, w jakiej je zastał, lecz pozwala im wygrać. Stać na własne nogi.

Jednak nietypowe ukazanie sprzeciwu dziecka wobec rodziców wprowadza na tyle duże zamieszanie, że niemalże przekracza ono granicę filozoficznej pretensjonalności. Trier balansuje nad przepaścią, ale jeśli w trakcie oglądania nie stwierdzicie, że już poleciał w dół i nie ma co patrzeć dalej, to czeka was nagroda. Bardziej psia chrupka niż tort, ale zawsze coś.



I prawda, że się trochę miota, że jest dziwny, przez co może być nieprzystępny, że do idącej na kamerę pewnej siebie Thelmy z triumfatorskim uśmieszkiem wystarczy dodać wybuchy za plecami, żeby kiczometr wyszedł poza skalę. Wszystko to prawda. A jednak film ciekawy. Inny. I polecam.

## **Wstyd**

### **Reż. Steve McQueen**

### **Wielka Brytania (2011)**

Gdy opada kurz wzburzony przez bezpardonowe sceny seksu, masturbacji i nagości, przez odgłosy porno i muzykę, która już w pierwszych minutach obarcza nas ogromnym poczuciem winy, gdy opada ten kurz, to jest nam żal. Mnie jest żal tych ludzi. Ludzi bez miłości.

Jak dobrym filmowcem, aktorem, jak dobrym filmem trzeba być, by sprawić widzowi ból miłosierdzia i współczucia ujęciem na twarz mężczyzny szczytującego podczas seksu zdwiema prostytutkami?

Brandon jest uzależniony od seksu. Bezuczuciowego. Czystego, cielesnego zaspokojenia własnych popędów. I żyje spokojnie swoim zseksualizowanym życiem aż do momentu, gdy bez zapowiedzi wprowadza się do niego siostra. Nie wnosi ona bezpośrednio elementu tytułowego wstydu, ale raczej zaburzenie rutyny, nieporządek w eleganckim świecie wyuzdania. Jednocześnie stanowi ona jedyny w hermetycznym życiu Brandona przejaw uczuć. Skrajnych, wybuchowych, ale jednak uczuć.

Sissy, siostra, jest jak bomba wrzucona do mieszkania. Nie chce jednak eksplodować. A jedynym, co może ją od tego odwieść, jest braterska miłość, której, zdaje się, na próżno szukać w sercu Brandona.

On zaś jest jak Ocean Spokojny, na którego dnie doszło do pęknięcia, przez co widzimy, że spokojny jest tylko z nazwy. Owo pęknięcie wy-

wołuje energię, siłę, frustrację, którą ogrom wód chcąc nie chcąc musi wyładować, a tworząc przy tym wielkie fale, może zranić niewinnych.

Wiemy, że razem sporo przeszli. McQueen nie mówi nam jednak, co. I dobrze. Niedopowiedzenie ma wielką moc. Dzięki temu też rodzeństwo nie stanowi pary spłaszczonych postaci. Czujemy prawdopodobieństwo ich istnienia w świecie rzeczywistym. Tym bardziej dotyka nas ich los.

Spod hałd seksu, pornoli, masturbacji i cięcia rąk żyletką ze *Wstydu* przedziera się okrzyk cierpienia, wołania o miłość, o moc czucia czegokolwiek. W blichtrze Nowego Jorku widzimy dwójkę uczuciowych nędzarzy, rodzeństwo, którego jest nam po ludzku szkoda.